

J. POWALSKI.

.. SZTANDARY .. KSIĘCIA JÓZEFA.

1

I.

Gdy hen, za czarnymi lasami rozwlekła się błada smuga świtu, szarym, cichym krajem wstrząsnął nagle wystrzał armatni, sygnał pracy.

Już w niewyraźnym mroku roło się mrowie robotników ruszających na swoje stanowiska przy pracach ziemnych koło modlińskiej twierdzy. Szli i szli, to gromadami, to rzadkimi kupami, to stłoczona cizbą. Ruch ten zacierał się w gęstej mgłę nadwiślańskich łąk. W wyrwanych ze snu tłumach, zziębniętych po chłodnej nocy jesiennej, nie było jeszcze wrzawy ani zajęcia.

Przemaszerowały w porządku bataliony piechoty, idące także do kopania.

Zwolna tłum wciągnął się na stoki wyniosłej twierdzy, jakby ją oblażyły niezliczone roje mrówek. Zewsząd odzywała się komenda rozdających stanowiska oficerów. Wnet rozpoczął się codzienny huk toporów, skrzyp taczek, gęste głosy ludzkie. Ustępowało zziębnięcie, sztywność ponocna. Robota ruszyła naprzód.

Porucznik artylerii, Ignacy Kleszewski, rozmierzwszy stanowiska przy robocie wczoraj wytkniętego profilu, czas niejaki patrzył, jak żołnierze wywozili taczkami ziemię pnać się w górę. Następnie ruszył ku dalszym robotom swego wydziału, gdzie grzmiał marsowy głos konduktora Brzechwy, pomocnika.

Gdy się zbliżał szybkim krokiem, Brzechwa urwał gniewne hukanie i służbiście ruszył ku niemu. Znać było, że ma do powiedzenia rzecz poufną, której niżsi słyszeć nie powinni.

— A co? — spytał porucznik.

— Znów pięćdziesięciu chłopów nie wyszło. A cieśli i murarzy z piętnastu.

— Żołnierze są wszyscy?

— Ba! — rzekł Brzechwa. — Jeszczeby! Jedzą, to niech robią. Zato, tamto hultajstwo marnieje jak muchy.

— Trzeba zobaczyć, czy naprawdę chorzy, — zmarszczył się surowo młodzieniec. — Tego wjazdu dziś dokończyć musimy.

Brzechwa poskoczył ku pracującym.

— Idź sam! — rozkazał porucznik. — Tych choć nie odrywać.

Pomocnik zawrócił i skierował się w dół, ku opodal widnym barakom, budom ze trzciny i słomy. Młodzieniec ruszył na dalszy przegląd.

Zatrzymał się przy wjeździe budowanym z pospiechem. Niecierpliwie przebiegł wzrokiem niedokończone ściany. Zamiast stu doliczył się pięćdziesięciu ledwie robotników.

— Łotry! — mruknął krótko, pod ledwie sypiącym się wąsem.

Oстрыm krokiem wspinał się ku pracującym. Posypały się gniewne uwagi i napędzania.

Przejrzał jeszcze raz tę robotę z wysoka.

— Nie skończą dzisiaj, — stwierdził, zły.

Wyszedł na wierzch frontu, którego sypanie miał sobie powierzone i ogarnął z góry okiem pracujące na swoim wydziale rzesze.

Zdawało mu się, że idzie nieźle, mimo wszystko. Patrzył chwilę z niejakim zadowoleniem, pełnym jednak surowości. Potem przeniósł wzrok dalej, na widne zewsząd pozaczynane wokół twierdzy ziemne roboty.

Słońce wschodziło z za dalekich nadnarwiańskich borów w krwawej łunie. Nad wschodem jak równe wały zaległy chmury zaognione od dołu, fiołkowe na grzbietach. Czerwień zatracala się zwolna i fiolet przechodził w szarość, rozłożoną od słońca. Wyżej, poprzez wiotkie baranki chmur przecierał się świeży błękit.

Porucznik zatrzymał dłuższe spojrzenie na dalekich szanach sypanych na lewym brzegu Wisły, pod Kazuniem. Lekka mgła niezupełnie dawała widzieć pracowity ruch ludzi, znać było tylko delikatny zarys różowych we mgłę i słońcu wałów. Jeszcze głębiej we mgłę tonęły roboty na lewym brzegu Narwi pod Nowym Dworem, gdzie pracował dwunasty pułk piechoty.

Porucznik starał się odgadnąć stan ich robót i ludzi. Miał nadzieję, że tamte pułki nie wyprzedzą go. Był pewien, że gdyby nie ustawiczne zmniejszanie się liczby robotników na jego wydziale, miałby już choć połowę roboty skończoną i zostawiłby in-

nych w tyle. Ale od upałów letnich, a potem ślot i chłódów jesiennych panowały uporczywe gorączki, febry, wreszcie szkorbut. Głodne i znędziałe chłopstwo topniało w tem jak śnieg na odwilży. Żołnierze trzymali się lepiej. Ale i ci już zaczęli chorować. Porucznik dumiał chmurnie: Jeśli tak dalej potrwa, nie skończą do mrozów. Głównie w skrytości duszy bał się, żeby nie pochorowało się zbyt wielu na jego wydziale, gdyż mimo wszystko trwał w postanowieniu i w nadziei wyprzedzenia innych w robocie.

Nagle, w cichem powietrzu, zdala, od kwatery komendanta placu, pobiegł głos trąbki. Wnet bliżej i dalej poczęły mu odpowiadać inne trąbki z kwatery rozlokowanych wokół twierdzy pułków. Zelektryzowani żołnierze prostowali się od roboty. Porucznik porwawszy się wyteżył wzrok i przystawiając dłoń do brwi od słońca patrzył pilnie. Ale nic nie widział. Zająty, spuścił się niżej i począł zapędzać ludzi do roboty, jednocześnie namyślając się, co nowego oznaczały te sygnały, który z wyższych oficerów mógł przybyć.

Wtem spostrzegł pędzącego ku sobie Brzechwę.

— Kto przyjechał? — zawołał.

— Melduję panu porucznikowi, — odpowiedział zdyszany konduktor, — że to jasnie oświecony książę Poniatowski, prosto, mówią z Paryża.

— Nie może być! — wyrwało się zdumionemu porucznikowi.

— Powiadają tak, że najpierw zajechał do nas, do Modlina, że niby tu najlepsze wojsko stoi.

— Będzie oglądał roboty! — zawołał porucznik nawpół do siebie. — Żywo! — A cóż ci chorzy?

— Ale! — rzekł Brzechwa, — leżą i jęczą, chciałem ich zapędzić, ale musi chorzy naprawdę. No, a cieście, to zda się, uciekli. Ale łatwo ich nazad będzie wrócić, bo byli z płońskiego powiatu. Tyle, żeby żandarmom dać znać.

Porucznik machnął ręką. Żandarmeryja nie funkcjonowała. Koni dawno zbrakło, a ludzi wcielono do wojska.

— Żywo! — rozkazał, — idź, pilnuj murarzy! A napędź tych przy wjeździe!

Brzechwa ruszył w tamtą stronę podnosząc po drodze krzykami gorliwość pracy, a porucznik skierował się na skrzydło roboty wysunięte najbardziej w stronę kwatery komendanta placu. Idąc i nagląc ludzi do pilności, obciągał nieznacznie zielony mundur i strzepywał z ubrania piasek i glinę. Poprawił stosowany kapelusz i musnął delikatny puch ocieniający mu górną wargę.

Spoglądał raz no raz w stronę kwatery komendanta. W tej też stronie znajdowała się korona, gdzie przy sypaniu szanów dozór miał jego przyjaciel, Jacek Zakrzewski, porucznik dwunastego pułku piechoty.

— U niego najpierw będzie, — myślał z niejaką zazdrością. I obiecywał sobie dowiedzieć się o wszystkim na obiedzie u pani kapitanowej Świącieckiej.

Wtem nadspodziewanie ujrzał tuż na najbliższym froncie ruch niezwykły. Żołnierze tam pracujący prostowali się, obrócili.

— Są! — Dostrzegł gromadkę jeźdźców zdala znacznych mundurami. Natychmiast obrócił się do swoich:

— Dalej, dalej! Nuże do roboty!

Przeszedł linię, zawrócił. Serce uderzyło mu żywiej: mała kupka jeźdźców ruszyła ku jego wydziałowi. Posuwali się wolno po rozkopanym gruncie, konie brnęły w glinę i błocie, poślizgując się.

Porucznik odróżnił natychmiast księcia na czele. Za nim trzymał się komendant placu, pułkownik Krasinski i dyrektor inżynierii pułkownik Mallet, francuz. Dalej dwóch adiutantów księcia, adiutant komendanta i kilku żołnierzy.

Gdy dojechali, salutował wyprostowany. Żołnierze stanęli wyprężeni, porzucając taczki i rydle.

Książę skinął ręką, by nie przerywali pracy. Koń jego gniady szedł dzielnie przez kupy gliny. Porucznik ruszył spieszenie razem z orszakiem.

Gdy byli na punkcie, skąd widać było wjazd, książę wstrzymał konia.

Zwrócił się do pułkownika Malleta po francusku:

— Czy nie za mało tu ludzi?

Pułkownik Mallet podsunął się z koniem, a już jego szybkie oko obiegiło robotę. Ludzie stali wyprostowani.

— Pan minister ma rację. Pan minister pozwoli, że spytam dozoruującego o powód.

— Faites, — odrzekł książę.

Pułkownik Mallet skinął, porucznik przystąpił spieszenie, salutując.

— Gdzie są pańscy ludzie? — spytał pułkownik.

— Część chora, — odrzekł pytany, — część zbiegła. Brak od wczoraj pięćdziesięciu.

— Czemuś pan nie zażądał odemnie liczby uzupełniającej?

Młodzieniec zmieszał się, zarumienił gwałtownie. Przewrotność pułkownika zdjęła go oburzeniem, a czuł się bezbronnym. Nigdy tego zwyczaju nie było, pułkownik wymyślił go na poczekaniu. Pracowało się ludźmi, których się miało: gdy chorowali, marli, uciekali, liczba robotników na wydziale topniała, ale nikt nie dodawał nowych.

Porucznik stał i milczał, pułkownik dodał jeszcze:

— Zaniebdajesz się, panie poruczniku.

Młodzieniec poczerwieniał jeszcze mocniej. Taka niesprawiedliwość! I to w obecności księcia! Taka nagana bez żadnej podstawy!

Porucznik uczuł mgłę na oczach. Serce waliło jak młot w piersiach.

Nagle książę odezwał się z dobrocią.

— Mości poruczniku, czy nie pan to byłeś przy sypaniu szanów Sandomierza z pułkownikiem Bon-temps?

Przejęty wdzięcznością młodzieniec potwierdził żywo.

Książę uśmiechnął się. Gdziekolwiek był i z kimkolwiek mówił, błyszczał wdziękiem sobie tylko właściwym. Wielu miało to za polor salonów, w których spędził młodość. Polor ten nie był bez znaczenia. Podstawą jednak i istotą tego czaru była wielka i zawsze czujna dobroć księcia.

Obrócił teraz konia i patrzył po robotach niżej rozłożonych. Sypano trzy korony, w szeroko zatoczonym półkolu, jako wysunięte dzieło fortecy. Od strony wsi Modlina aż ku Utrackim lasom. Zaczynano je dopiero.

— Braknie ludzi, — rzekł książę do pułkownika Malleta i komendanta Krasinskiego razem.

— Nie możemy nastarczyć żywności, wasza książęca mość, krup, chleba, wódki, nie sposób. Cała dywizja wojska i tysiące chłopów, a brać wprost niema skąd, — odpowiedział komendant.

— W planie mamy sześć koron, — rzekł książę po francusku.

— Te trzy są najważniejsze, — pospieszył Mallet. — Fort C o sześćset sążni od mostu na Narwi i przyczółek na lewym brzegu Narwi zabezpieczą ten most. Fort A o siedemset sążni od fortu nad Wisłą... Most na Wiśle ma 300 sążni długości — zatem, musiał być zajęty punkt o 250 sążni od bastionu szóstego — co chroni w razie zagrożenia mostu z prawego brzegu. Fort B naprzeciw fortu A... Przyczółek mostowy pod Kazuniem będzie skończony przed zimą. Jednakże tylko przy większej gorliwości robotnika.

Książę słuchał znanego sobie dokładnie planu, wodząc oczyma po dalekich fortach. Dzień jesienny był nadzwyczaj cichy. Szeroko rozłożony kraj wyglądał jak zastygły w jakimś śnie złotym, milczącym, przysłoniętym mgłą błękitniejącą. Od wałów, gdzie podstawiano drzewem ściany, niósł się zmieszany huk siekier, który w uśpionem, błękitnem powietrzu malał na stukot nieznaczny.

Ostatnie słowa Malleta podjął pułkownik z legji generała Zajączka, którego pułk był na robotach przy twierdzy.

— Nie może być większej gorliwości, gdy głód skręca kiszkę. Co dziesiąty człowiek chory. Pułk dwunasty piechoty, który pracuje w bagnach nad Narwią, traci dzień w dzień po dziesięć ludzi przy najmniej.

Książę patrzył na dalekie, siwiejące lasy. Pułkownik, rzuciwszy nań okiem, ściągnął brwi i dodał jeszcze:

— Teraz, gdy słońce wcześniej zachodzi, wartoby i ludzi wcześniej puszczać na odpoczynek. Żołnierz się marnuje, a okopy te tak ogromne, że i tak go nigdy dosyć do nich nie będzie.

Mallet, uśmiechnawszy się sucho, powiedział:

— Forteca jest ważniejsza od wojska.

Pułkownik odrzekł porywczo:

— Nie na tyle, by żołnierza dla niej wytracać.

Książę ściągnął wodze swego konia, i ruszając dalej, odezwał się mimochodem:

— Od wiosny dodana będzie nowa dywizja dla przyspieszenia i ulżenia robót.

Odjechali dalej. Porucznik Kleszewski zawrócił do swych robotników.

Niecierpliwie doczekał południowej przerwy, podczas której na obiedzie u pani kapitanowej wymieniano się ostatnie nowiny i komentowało zdarzenia. Niecierpiąca zwłoki potrzeba zacerpnięcia wieści i opinii cudzych pchała go szybciej niż zwykle w stronę długiego korpusu budynków naprędce skleconych, gdzie pani Świąciecka udzielała młodym oficerom od okolicznych robót ziemnych, skromnych lecz posilnych obiadów, których okrasą była młodość uczestników i ich niczem niepoohamowana wesołość, skoro tylko raz się znaleźli wszyscy razem.